

Nadzieja to najważniejsze uczucie w życiu każdego człowieka. To uczucie niezbędne, bez którego nie można się obejść, tylko ono pozwala pokonywać nieuniknione przeszkody i niespodziewane nieszczęścia, które dotyczą każdego z nas. Tylko nadzieja pozwala podnieść się po ciosach losu, nawet tych najboleśniejszych. Życie kończy się dopiero z chwilą, gdy człowiek straci ostatni, najślabszy cień nadziei. Od tego momentu kończy się życie, choć może jeszcze trwać wegetacja.

Czy można w jakiś sposób przedstawić nadzieję? Można o niej pisać całe tomy, ale czy można ją pokazać? On spróbował tego dokonać, przynajmniej na własny użytek.

Od najmłodszych lat rysował, gryzmolił i malował, co tylko mu się podobało, czym się dało i na czym się dało. Nawet patykami po mokrym błocie. Zawsze miał ołówki, jakieś kredki i zwykłe, najprostsze i najtańsze akwarelki na plastikowej paletce. Odgapiął ilustracje Mariana Walentynowicza do Przygód Koziołka Matołka i Małpki Fiki-Miki. Kopiował ilustracje z rosyjskich „Wiesiołych kartinek” dostępnych wtedy w każdej szkole podstawowej oraz postacie z bajek Walta Disney’a, a nieco później cudowne ilustracje Jana Marcina Szancera do Baśni Andersena i do wierszy Jana Brzechwy. Zawsze najbardziej zajmowały go postacie ludzi i zwierząt - tych rzeczywistych i tych fantastycznych, stworzonych przez tych wspaniałych rysowników. Jako chłopiec miał oczywiście także etap rysowania muszkieterów, rycerzy, Indian i kowbojów, ale to mu dość szybko przeszło. Bardziej interesowali go prawdziwi, znani ludzie - postacie historyczne i żyjące współcześnie. Dzięki dobrym nauczycielom, którzy umieli o tym ciekawie mówić i ilustrować te opowieści odpowiednimi obrazami, już w szóstej klasie podstawówki zaczął interesować się historią sztuki, szczególnie malarstwa, które do niego przemawiało najmocniej. To zainteresowanie było oczywiście traktowane wyłącznie, jako przyjemność, odprężenie a nie obowiązek. Nie zajmowało mu też wtedy zbyt wiele czasu, po prostu wypełniało przerwy pomiędzy „poważną” nauką a innymi normalnymi rozrywkami.

Kiedy ma się kilkanaście lat przeżywa się różne chwile. Są chwile szczęścia, wręcz euforii, ale zdarzają się też chwile zwątpienia, smutku i niewiary we własne umiejętności i możliwości. W tym wieku wszystko odbiera się bardzo emocjonalnie. Z nim było podobnie. Po ukończeniu z doskonałymi wynikami podstawówki, pełen wiary i nadziei na przyszłość, złożył dokumenty o przyjęcie w szeregach uczniów liceum ogólnokształcącego. Chciał się uczyć, pragnął być dziennikarzem, reporterem – takim jak, na przykład, Ernest Hemingway. Chciał pisać o Dolnym Śląsku, o swej najbliższej okolicy, którą nieudolnie i samodzielnie odkrywał nie mając jeszcze dostępu do informacji o miejscu, w którym przyszło mu żyć. Ale na egzaminie kwalifikacyjnym do liceum nastąpiła katastrofa – padł na dyktandzie – popełnił zbyt dużo błędów. Zdał, lecz byli lepsi. Nie został przyjęty, bo liczba miejsc była ograniczona. Ten cholerny, powojenny wyż demograficzny zrobił swoje. Wszystkie, co ciekawsze szkoły zakończyły już nabór uczniów. Koniec marzeń. Co robić?

Wolne miejsca były jeszcze w technikum. Podstawowe przedmioty (matematyka, język polski) miał już zdane, ale w technikum trzeba było jeszcze zdać egzamin z rysunku – no, przynajmniej to nie było dla niego żadną trudnością. Do narysowania był jakiś dzbanek porcelanowy lub fajansowy – poradził sobie z tym szybko i bez najmniejszych trudności. Narysowanie dzbanuszka nie było dla niego żadnym wyzwaniem.

W pierwszych klasach technikum nie przykładął się zbyt solidnie do nauki. W tym okresie istniały dla niego inne ważniejsze sprawy: malarstwo i muzyka. Wielkim wydarzeniem było otrzymanie od rodziców pudła prawdziwych, artystycznych farb olejnych. To było wielkie święto. Malował wtedy jak wariat – marne pejzaże, scenki rodzajowe, kwiaty i portrety. Zwykle były to malunki bardzo słabe, kiczowate, pałętały się potem gdzieś po kątach. Było zamczysko na wysokich skałach otoczone lasem, z czarnymi ptaszyskami unoszącymi się w powietrzu, był też obrazek z powstańcami styczniowymi, którzy przystanęli na skraju lasu. Kiedy zabrakło mu białej farby olejnej ratował się używając białej farby

emulsyjnej, która po wyschnięciu odpadała z płyty pilśniowej. Bo obrazy powstawały na płytach pilśniowych, które ojciec przynosił mu z pracy. Był też widoczek Bramy Floriańskiej w Krakowie – bardzo marny, bo wieża się nieco „wygła”. Był dumny, bo dwa z tych pierwszych malunków poszły do rodziny. Był to husarz na białym koniu i portret siostry. Namalował wówczas także portret czeskiego prezydenta Ludwika Svobody. Zastanawiał się nawet czy nie wysłać prezydentowi tego obrazu. Na szczęście tego nie zrobił. Rodzicom namalował portret ślubny na podstawie starej, czarno-białej fotografii. Bardzo im się spodobał, wisiał w domu przez szereg lat, ale po ich odejściu gdzieś przepadł. Z czasem nabierał pewności w operowaniu kolorem, plamą i rysunkiem, śmiałości w mieszaniu barw a nawet w próbach oddania nastroju i uczuć przedstawianych postaci.

Na początku lat siedemdziesiątych zainteresował się Indochinami. Trwała tam okrutna wojna, Dawid walczył z Goliatem, były okropne masakry, gazety przynosiły aktualne wiadomości i zdjęcia. Przerażało go to, co wyprawiały tam amerykańskie wojska, uczące biednych Wietnamczyków zachodniej demokracji za pomocą bombardowań i palenia napalmem wielkich ilości dżungli. Cały cywilizowany świat potępiał te zbrodnie. Do historii przeszła nazwa miejscowości My Lai. Pod wrażeniem tych wiadomości powstały malunki związane tematycznie z okropnościami wojny, inspirowane fotoreportażami zamieszczanymi we francuskojęzycznym tygodniku „L’Humanite Dimanche”, który czytał jego ojciec. W wałbrzyskim MPiK-u, mieszczącym się na Placu Grunwaldzkim, bez problemów można było kupić obcojęzyczną prasę, głównie lewicową. Kilka tych młodzieńczych prac, inspirowanych zdjęciami z tej gazety zachowało się do dzisiaj, między innymi „Madonna z dzieciątkiem” – wietnamska Pieta. Jest to portret kobiety z martwym dzieckiem trzymanym na rękach, siedzącej na ziemi wśród gruzów zbombardowanego miasta. Namalował też kilka innych obrazów, wśród nich „Trupa płynącego Mekongiem”. Tego topielca dostał jego przyjaciel, któremu obraz bardzo się podobał.

Ciężko przeżywał okres dojrzewania. Był to czas, kiedy mocno zwątpił w swój wygląd zewnętrzny. Pojawily się pryszcze, z którymi bezskutecznie walczył, włosy się szybko przetłuszczały, grzeczna fryzura na boczek wkurzała go niezmiernie, ale nie umiał się inaczej czesać. Żaden fryzjer nie potrafił go ostrzyć tak jak tego sobie życzył. Inna rzecz, że te włosy były do niczego - rzadkie i bardzo szybko się przetłuszczały. Ale nawet i to można było jeszcze przeżyć – większy kłopot był z cerą twarzy. Te diabelskie krosty wciąż powstawały na nowo i nie można było ich zniszczyć. A wyskakiwały tylko na twarzy! Szpeciły całą twarz i odbierały mu resztki pewności siebie. Próbował różnych leków, nic nie pomagało. Dochodziło do tego, że chciał pazurami rozdrapać tę swoją gębę. Nie akceptował swego wyglądu, wręcz wstydił się go. I jak tu podobać się dziewczynom? Nie ma nic gorszego niż widzieć jak się brzydnie. Do tego jeszcze musiał nosić okulary, bo szybko zaczął mu się psuć wzrok – dojechał aż do minus 5 dioptrii. Było to szczególnie denerwujące na lekcjach wychowania fizycznego. W technikum na lekcjach w-f dominowała koszykówka. Wiązał te swoje okulary gumką ukrywaną z tyłu głowy, ale i tak prawie każde wejście pod kosz przerywał gwizdek sędziego, i musiał zbierać okulary z parkietu. Skąd w takiej sytuacji brać optymizm, skąd nadzieję na przyszłość. Stracił całą pewność siebie i raczej chował się niż uczestniczył w życiu rówieśników – uciekał w literaturę, rysunek, malarstwo i muzykę. W końcu zaczął też poważniej traktować naukę.

Pomimo wielu znajomych właściwie zawsze był samotny. A samotność to ponoć najgorsza rzecz na świecie. Może to była jego wina, ale był upartym, nie chciał zadawać się z byle kim, nie odpowiadało mu też towarzystwo, jakie miał wokół domu. Nie chciał się niczemu i nikomu podporządkowywać. Chciał być wolnym. A ceną, którą trzeba było za to zapłacić była samotność. Nie było nadziei na szybkie zmiany. A jednak wystarczyło kilka spotkań z pewną dziewczyną i wróciła nadzieja.

Obronił pracę maturalną, potem był ostatni dzwonek i już tylko czekanie na maturę. Piękny maj, miłość i nauki. W dniu egzaminów nie czuł zbyt wielkiego strachu. To dziwne, zwykle strach go paraliżował a na maturze tego strachu nie czuł. Był szczęśliwy i pewien swego. Matura była dla niego wspaniałym przeżyciem i po niej znowu pojawiła się nadzieja, że może uda się dostać na wyższą uczelnię i studiować na wymarzonej architekturze. Miało być tak pięknie.

I nawet nieźle się zaczęło. Najpierw był egzamin z rysunków, co było dla niego „małym piwem”, wręcz przyjemnością. Lecz cieszył się zdecydowanie zbyt wcześnie. Egzamin z matematyki okazał się przeszkodą zbyt trudną do pokonania. Musiał pójść do pracy. Trzeba było pomóc zapracowanym rodzicom, nie chciał przecież być uważany za darmozjada.

Tłumaczył sobie, że w pracy zostanie tylko na okres stażu, ani dnia dłużej. Nie da się wprząc do marnej pogoni za groszem i niczym więcej. Szarzy ludzie myślą tylko o zaspokojeniu swoich bieżących, codziennych potrzeb. Gdzie poczucie wolności, swobody. Przecież ważny jest tylko prawdziwy człowiek, w pełnym znaczeniu tego słowa, a nie szarak-niewolnik. Piękny, pełen człowieczeństwa Człowiek – to jest idea. Nie miał pojęcia jak potoczą się jego dalsze losy. Miotał się od skrajnego zwątpienia do nagłych wielkich nadziei. Wątpił w to, że się czegoś się w swym życiu dochrapie, nie umiał schlebiać, być uległym i służalczym. Co z marzeniami o przyszłości? Tyle już miał tych marzeń. Mając 14 lat chciał być dziennikarzem, potem pragnął zostać malarzem – artystą, marzyła mu się też kariera architekta. Chciał tworzyć coś pięknego dla ludzi – dla człowieka. I co? Ano nic – została nudna papierkowa robota, jakie to straszne. Ta praca też jest potrzebna, to prawda, ale on nie chciał przejść przez życie niezauważony, bez echa, chciał coś po sobie zostawić. Bał się szarzyny, bał przemijania bez śladu. Tliła się w nim jeszcze nadzieja na zmiany.

Wciąż malował. Koledże z pracy sprzedał nawet za całe 100 złotych dwa swoje obrazy: portret młodzińca w stylu kubistycznym i bardzo realistyczną twarz młodej „lady” z rozwianymi włosami.

W końcu spotkał dziewczynę, z którą zamierzał związać się na dłużej. To mu pomogło znowu w siebie uwierzyć, ona sprawiła, że znowu wziął się poważnie za malarstwo. Razem planowali ruszyć na studia, miało być cudownie. Nie chcieli iść na łatwisznię, postanowili uderzyć na wymarzony Kraków: ona na Akademię Rolniczą, on na Akademię Sztuk Pięknych. Wzięli się ostro do nauki. Po ośmiu godzinach pracy, kiedy nieraz bywał już całkiem wykończony, przez dobre pół roku z zapałem studiował historię sztuki. Przed egzaminem należało przesłać na uczelnię prace domowe, na podstawie których kandydatów dopuszczano, lub nie dopuszczano do egzaminu. Sam egzamin miał składać się z części teoretycznej, tj. egzaminu pisemnego z zakresu historii, historii sztuki i kultury oraz języka obcego. Prócz tego oczywiście egzamin sprawnościowy, który pozwoliłby ustalić stopień opanowania rysunku i malarstwa.

Z wielką niecierpliwością i z wielkimi nadziejami czekał na egzamin. Starannie opakował swoje prace i wysłał je do Krakowa. Przygotowywał się powtarzając wiadomości teoretyczne. Pracował jak szatan, był prawie chodzącą encyklopedią sztuki. Prawie cały materiał miał porządnie upakowany w głowie, historia sztuki stała mu się bardzo bliską. Dzień za dniem płynął a zawiadomienie o terminie egzaminów wciąż nie nadchodziło, rósł niepokój. Na dwa dni przed przewidywanym terminem egzaminów już nie wytrzymał i postanowił dzwonić do Krakowa. W tamtych czasach z telefonu korzystało się na poczcie, rozmowy się zamawiało. Ta rozmowa była bardzo krótka. Dowiedział się, że nie został dopuszczony do egzaminów. Zatkąło go, zduszonym głosem spytał:

- Z jakiego powodu?

- Poziom prac był zbyt niski - usłyszał w odpowiedzi.

Kompletne zaskoczenie, pustka, nagła wielka, czarna dziura. Poczuł się nagle straszliwie rozluźnionym, zrezygnowanym, jakby nieobecnym. Ogromna pustka. Nie wiedział: płakać czy śmiać się.

Po kilku dniach przyszło oficjalne, pisemne zawiadomienie. No cóż, stało się. Na dodatek trzeba jeszcze było jechać do Krakowa odebrać przesłane prace, bo po iluś tam dniach miały zostać spalone.

Prawdę powiedziawszy mógł się tego spodziewać. Kilka miesięcy wcześniej pojechał pociągiem do Krakowa na konsultacje organizowane przez ASP. Pociąg był przepełniony, nie można było usiąść, trzeba było stać prawie przez całą nocną podróż. Potem panowie profesorowie-artyci kazali na siebie dość długo czekać a gdy wreszcie pokazał im swe prace – w delikatny sposób totalnie go zniszczyli: „To nie jest obraz artysty – to fotografia”.

Miał oczywiście inne zdanie na ten temat. Próbował rozmawiać, tłumaczyć: „Te obrazki różnią się od bezdusznej fotografii, to są sceny żywe, twarze ludzi pokazane w dramatycznym momencie, one coś symbolizują, czegoś uczą i nie zgadzam się z twierdzeniem, że są tylko ilustracją”.

Zarzucono mu, że szuka i stosuje kolor realistyczny. Zgoda, ale on wcale nie chciał odrywać się od rzeczywistości. W końcu dopiero się uczył, więc dlaczego nie wolno mu zaczynać od jak najdoskonalszego odtworzenia rzeczywistości, niewiele przekształconej, ale nasiąkniętej własnym odczuwaniem. Musiał znowu pojechać do Krakowa, aby odebrać swoje prace. Bardzo chciał porozmawiać z kimkolwiek na temat kryteriów oceny tych prac. Na miejscu trzeba było oczywiście poczekać na przyjęcie w sekretariacie Akademii. Długie czekanie urozmaicał sobie oglądaniem kręcących się tam typów - tych, którzy zostali przyjęci i tych nieprzyjętych. Nie znalazł wśród tego towarzystwa normalnych, szczerych i otwartych ludzi. Odbierał ich tak nie tylko przez rozgoryczenie, to się po prostu rzucało w oczy. Jacys zmanierowani, widać było, że bogaci i bez kłopotów, żadnej wyraźnej osobowości nie spostrzegł. Tylko banalne zgrywy i wygłupy, urozmaicone oczywiście, wielce wyszukany słownictwem. W sekretariacie dowiedział się, że nie ma nikogo, z kim mógłby porozmawiać o swoich obrazach. Członkowie komisji rekrutacyjnej przebywali już na urloпах.

- Kiedy mógłbym z kimś porozmawiać - spytał, na co otrzymał odpowiedź:

- Ewentualnie z początkiem roku akademickiego, w październiku, lub w przyszłym roku, w lutym lub w marcu, na kolejnych konsultacjach.

Nie dano mu najmniejszej szansy pokazania, na co go stać, co potrafi. W dodatku nawet nie powiadomiono go o odrzuceniu we właściwym czasie, aby mógł spróbować swych sił na innym kierunku – na przykład na historii sztuki. Już było za późno. Cała praca poszła na marne, jeżeli nie liczyć tego, że stał się bardziej „oblatany” w sprawach historii sztuki i w trakcie wielu ćwiczeń przed tą nieszczęsną próbą wypracował w końcu pewien swój styl, i wiedział już dokładnie, co i jak chce malować. W dodatku jego obrazy naprawdę podobały się znajomym. Lecz cóż z tego? Pozostało mu już tylko „niedzielne malowanie”.

Skończył z wygłupami – zachowywać się rozsądnie, to znaczy definitywnie odrzucić zamiar zostania zawodowym artystą plastykiem i zając się sprawami praktycznymi, bardziej dostępnymi dla człowieka z prowincji, który nie ma wpływów i znajomości w artystycznych środowiskach, szczególnie takich jak krakowskie. Trzeba pracować, uczyć się konkretnego zawodu, w końcu zdać na Politechnikę, zrobić wieczorowe studia, ustatkować się i być niezależnym finansowo. A malowanie niech będzie tym, w co będzie się uciekać po pracy.

Czuł gorycz, – bo wiedział, że jego prace nie były nieudolne i słabe. Dobrze poznał kierunki rozwoju malarstwa czytając wiele opracowań dotyczących tej tematyki, a ponadto sam malował już na tyle długo, że mógł to spokojnie i rzetelnie ocenić.

To wtedy, w momencie, gdy musiał definitywnie zrezygnować z pomysłu zrobienia kariery artysty malarza, powstała „Nadzieja”. Malował ją z wielką pasją, ale bez wściekłości. Pracował w spokoju ducha wiedząc już, czego chce i co potrafi. Wierzył, że może osiągnąć wszystko, jeśli tylko będzie wytrwałym. Nie przeszkadzają mu w tym ludzie, którzy w niego nie wierzą, którzy go hamują. Nie będzie ich słuchać, wie, że potrafi wiele i wiele jeszcze może osiągnąć. Ta pewność, wiara i nadzieja towarzyszyły mu podczas pracy przez kilka kolejnych dni. O niczym innym nie myślał. Po powrocie z pracy, po szybkim obiedzie a czasem i bez obiadu, stawał przed sztalugą i malował. Pędzli nawet nie mył, zostawiał je na następny dzień w stoiku z terpentyną. W końcu odstawił obraz, aby nie dać się skusić jakimkolwiek dodatkowym poprawkom, czy wygładzeniom, które mogłyby osłabić siłę oddziaływania. Tak powstała tytułowa „Nadzieja”, będąca ilustracją ówczesnego stanu jego umysłu.

Ta jego „Nadzieja” jest obrazem olejnym, wykonanym na twardej płycie pilśniowej o wymiarach 30 na 40cm. Jest to wyimaginowany portret pięknej kobiety o bujnych, ciemnych włosach, upiętych z tyłu głowy z kwiatkiem dzikiej róży wpiętym tuż nad uchem. Kobieta ma jasną twarz, wysokie czoło, wyraźne łuki brwi, wąski nos i kształtne, czerwone usta nad brodą z lekkim dołeczkiem. Foremna głowa wsparta jest na smukłej, wąskiej szyi. Obraz przedstawia kobiece popiersie - widać, więc także odkryte ramiona i zarys piersi pod błękitną suknią z dużym trapezowym dekoltem. Najważniejsze są jednak oczy - to one ożywiają tę postać i nadają jej charakteru. Zimne, niebieskie oczy z czarnymi źre-

nicami i białymi błyskami przyciągają wzrok. Całość, mimo widocznych pociągnięć pędzla, jest skończona. Tłem jest jasne niebo bez zbędnych detali. Obraz emanuje jakąś dziwną siłą i pewnością, przekonuje i nakazuje.

Obraz ten zajął szczególne miejsce w jego życiu. Ilekroć później w ciężkich chwilach popadał w zniechęcenie i tracił wiarę w lepszą i szczęśliwszą przyszłość, wpatrywał się w ten obraz i po chwili wracała nadzieja. Nigdy się go nie pozbył, wciąż wisi w jego domu, jest jego amuletem.

O zawodowym malarstwie musiał zapomnieć, skupił się, więc na karierze zawodowej. Miał teraz naukę, pracę i prywatne, ale swobodne malowanie. Był to czas, kiedy wszystko wokół się waliło, nie tylko w jego małżeństwie, ale i w kraju – zbliżał się „sierpień”.

Minął młodzińczy wiek pełen mrzonek, marzeń i ideałów. Czasy, gdy wierzył, że zawsze zwycięża prawda a na świecie dobro musi zniszczyć zło. Minął okres fascynacji takimi postaciami jak: Ernesto Che Guevara, Angela Davis, czy choćby nasz wódz – Edward Gierek. Cały świat miał pędzić pospiesznym ku wolności, szczęściu, dobru ludzi pracy, a jeżeli nawet były jakieś trudności - to przecież one były do pokonania. Amerykańcy pójdą precz z Wietnamu, Żydzi z Palestyny, w Polsce robotnicy będą jeździć Fiatami, brudy będą myć pralki automatyczne, gary zmywać będą maszyny a my będziemy budować sprawiedliwy ustrój i mieć za to budowanie godziwe wynagrodzenie. Co z tego wszystkiego zostało? Niewiele, trzeźwy, przyziemny rozsądek. I co gorsze - wcale nie było mu żal tych złudzeń, one też były bardzo potrzebne. Życie uczy, doświadcza, jest najtwardszą, ale niezastąpioną szkołą.

Wszystkie młodzińcze mity prysły jak bańki mydlane. Wódz stracił wszystko w 1976 roku w Radomiu, Polacy gnietli się w autobusach, ceny rosły a gary wciąż myto w zlewozmywakach. W najtrudniejszych momentach pomagała tylko „Nadzieja”.

Mimo trudności pracował zawodowo i dalej malował. Powstało kilka dobrych obrazów, między innymi portret śpiewającej Afrykanki, czyli „Ekspresja”, „Twarz w cieniu”, „Dziewczyna na tle mozaiki” i inne mniejsze. Każdy musi przejść swoją prywatną drogę. Na jego drodze były chwile szczęścia, były straszne rozczarowania, był ogromny ból i żal, ale w końcu i w jego życiu znowu pojawiła się nadzieja. Miał wreszcie prawdziwą rodzinę. Byli biedni jak myszy kościelne, ale pełni wiary i nadziei na przyszłość. Na centralnym miejscu w ich maleńkim mieszkanku wisiła na ścianie, oprawiona w białą ramę, ich „Nadzieja”.

Po sierpniu 80 wszyscy zgarbieni się wyprostowali. Wszyscy, którzy się nie sprzedali, którzy nie mieli zbyt wiele dóbr do stracenia, przystanęli, zatrzymali się na chwilę a potem ruszyli razem. To, co nagromadziło się w ludziach po tylu wcześniejszych zawodach, wszystkich poniżeniach, wyłynęło lawiną. Zbyt dużo nagromadziło się żalu i rozgoryczenia. Dotąd społeczeństwo dzieliło się na tych, którzy „należeli” i tych, którzy „nie należeli”. Ci należący, choć niewierzący w głoszone hasła, poczuli się wtedy bardzo niepewnie. Sierpień przyniósł tyle świeżego powietrza, że mimo wszystkich gazów, jakimi po grudniu 1981 roku władze wojskowe spaprały atmosferę, ci, którzy wtedy oddychali głęboko tym powietrzem nieprędko ulegną znowu zatruciu i zubożeniu. Ta lekcja wryła się głęboko w serca i w pamięć, a pamięci czołgiem się nie zniszczy. Dzięki takim ludziom, jak działacze ówczesnej Solidarności, wygraliśmy. Ile pięknych książek można by o nich napisać? Pięknych, prawdziwych opowieści o ludzkim życiu, codziennej pracy, i codziennym staraniu o lepsze jutro dla siebie, dla rodziny, dla kraju. Dla kraju – ale nie dla junty wojskowej czy dla kolejnych cwaniaków na wysokich stołkach. Dobro kraju uzyskuje się wyłącznie poprzez dobro rodziny i zadowolenie pojedynczego człowieka. Ten zbiór pojedynczych ludzi, pojedynczych rodzin – to jest dopiero naród. Nie można tolerować włądy tych, którzy siedzieli cichutko pod kołdrą i wyleźli dopiero wtedy, kiedy już nie było żadnego zagrożenia i zaczęli opowiadać brednie o swoich wybitnych zasługach. To są odpady, to jest brud, szum który, o czym wiedzą kucharki, podczas gotowania zawsze wylaży na wierzch. Trzeba go tylko w porę zebrać i usunąć, aby nie zepsuł całej potrawy. Nie może być tak, że paprochy, które same wylażyły na wierzch, będą tam siedzieć, mącić barwę i psuć smak. Trzeba to jak najprędzej wypieprzyć, żeby wszystko się nie zepsuło.

W połowie lat osiemdziesiątych zapanował marazm i zniechęcenie. Ludzie żyli biednie. Było ciężko. Zdarzały się prawie bezsenne noce. W pracy, aby oderwać się od tej codzienności, urządzano od czasu do czasu popijawę, po których jednak zawsze pozostawał jakiś niesmak, wstyd i żal.

Zdarzało się, że nocami, kiedy w głowie kłębiły się tysiące myśli po cichutku wychodził z łóżka, zapalał papierosa i próbował coś robić: rysować, liczyć albo pisać – tak długo aż poczuł dostateczne zmęczenie i dopiero wtedy, koło pierwszej lub drugiej w nocy, mógł wreszcie zasnąć z czystym sumieniem wiedząc, że nie zmarnował dnia. W tych ciężkich latach osiemdziesiątych rysował i malował jak szalony. Poza całym szeregiem rysunków powstał też, między innymi, olejny portret żony w owalnej ramie. Z rozpędu wykorzystał nawet starą paletę, na której namalował twarz schowaną w cieniu, z którego wyłaniało się tylko oko, nos i usta. Bawiło go też malowanie różnych drobiazgów. Teść miał niewiele pamiątek przywiezionych ze Lwowa. Jedną z nich był kolorowy obrazek anioła, który na Boże Narodzenie wieszano zawsze na szczycie choinki. Obrazek był już bardzo zniszczony. Aby zrobić mu przyjemność skopiował ten obrazek na trzech kartonach. Jeden z tych aniołków zawsze wisi u niego na górze choinki.

W kraju działy się wielkie rzeczy: okrągły stół, pierwsze wolne wybory. Wszyscy spodziewali się dużych zmian, oczywiście z korzyścią dla społeczeństwa. Ale tak naprawdę, to nikt wtedy nie zdawał sobie w pełni sprawy z tego, ilu i jakich wyrzeczeń wymagać będzie życie w nowej, demokratycznej Polsce. Początkowo panował entuzjazm i wiara w możliwość szybkiego rozwoju. Zaczynało się nieźle. Ludzie byli pełni optymizmu, wierzyli, że prawdziwa demokracja i gospodarka rynkowa szybko odmieńnią ich losy. Wszyscy chcieli coś robić, najchętniej na własny rachunek. Powstało mnóstwo małych firm produkcyjnych i handlowych. Niektórzy zaczęli od łóżka polowego lub „szczęki” ustawionej na centralnym, handlowym placu osiedla, zwanym szumnie „Manhattanem”. Przygotowywany był program powszechnej prywatyzacji – każdy pracujący obywatel miał otrzymać swój udział w prywatyzowanym majątku narodowym.

Początkowa euforia stopniowo, lecz wyraźnie słabła. Wpływ na to miały sprawy gospodarcze oraz mocno z tym związane kłótnie o władzę i przepychanki w obrębie ówczesnej elity politycznej. Wewnątrz potężnego związku, który potrafił doprowadzić do zmiany ustroju państwa, zaczęło coraz częściej dochodzić do podziałów. Tworzyły się frakcje, powstawały partie. Wielu spośród zapalonych działaczy, już po kilku latach poczuło gorycz i rozczarowanie związane z poczynaniami ludzi, którzy dotarli do szczytów władzy państwowej i związkowej, po czym szybko i całkowicie zapomnieli, dzięki komu tam się znaleźli.

On również szybko założył w swoim zakładzie pracy komórkę „Solidarności”, był nawet delegatem na II Walne Zebranie Delegatów Regionu Dolny Śląsk. To wtedy frakcja pyskaczy z wrocławskich uczelni nie dopuściła do wyboru Władysława Frasyniuka na przewodniczącego regionu. Wybrano Tomasza Wójcika z Politechniki Wrocławskiej zorientowanego znacznie bardziej na prawo niż Frasyniuk. Coraz częściej zastanawiał się, czy naprawdę trzeba było niszczyć wszystko, co tylko wiązało się z pracą i życiem ludzi żyjących w PRL. Prywatyzacja, czyli sprzedaż dobra społecznego skończyła się tym, że garstka uprzywilejowanych kołesiów rozgrabiła to, na co pracowały powojenne pokolenia. Raptem pojawili się w Polsce milionerzy. Czego nie rozgrabili polscy cwaniacy, sprzedano różnym zagranicznym „Inwestorom”, którym zapewniono cały szereg ulg i ułatwień, byle tylko chcieli tu inwestować. Kolejne rządy sterowały w kierunku liberalizmu, który tak naprawdę bardziej przypominał dziki, dziewiętnastowieczny kapitalizm, w którym pracownik miał najmniej do powiedzenia. Zaczęła liczyć się wyłącznie kasa. Wolne związki zawodowe, o które tak zacięcie walczone stały się jeszcze jednym miejscem do urzędzenia się w tej nowej rzeczywistości.

Dlatego wystąpił z „Solidarności”. Zajął się pracą, która naprawdę dawała mu dużą satysfakcję i wcale nie męczyła. Znano go już i ceniono, w swoim zawodzie osiągnął ważną pozycję. Ale wieczorami wciąż rysował portrety różnych osób – szczególnie interesowały go twarze wyrażające jakieś emocje. W tym szale rysowania powstały portrety wielu sławnych i bardzo różnych postaci, takich jak na przykład: Teng Siao Ping, Arystoteles, Maria Skłodowska-Curie, Kantor, Mrozek, Cyzero, Dzierżyński, Gor-

baczow, Homer, Erazm z Rotterdamu, król Fajsal, Sokrates, Balzac, marszałek Foch i wiele, wiele innych. Powstały portrety wielu znanych pisarzy i kompozytorów. Starał się, aby te portrety „żyły” a nie tylko oddawały poprawnie rysy twarzy portretowanej osoby. Jeśli nie natrafiał na interesujące twarze postaci istniejących w rzeczywistości rysował postaci nierealne, wymyślone albo dziwne i fantastyczne stwory powstałe tylko w jego wyobraźni. Eksperymentował bawiąc się kolorem, plamą i kreską.

W chwilach niepewności zawsze zwracał wzrok w kierunku swojej „Nadziei”. Patrząc na nią upewniał się, że potrafi, że da radę. Dlatego ośmielił się pokazać te swoje prace w Internecie. Zamieścił je najpierw na własnej, prywatnej stronie internetowej a potem najlepsze portrety przesłał również do Wikipedii. Zostały zamieszczone w Wikimedia Commons, dzięki czemu udostępniono je wielkiej rzeszy obserwatorów. Świadomość, że znaczna część z nich jest wykorzystywana przez ludzi w różnych publikacjach na całym świecie sprawiła i sprawia mu wciąż wielką satysfakcję.

Od polityki nie można uciec. Ona każdego z nas dogodni i na każdym odcisnie swój wpływ, czy tego człowiek chce czy nie. Również teraz, w bardzo trudnych chwilach, kiedy wydaje się, że nic już nie można zrobić, nie wolno się poddawać i rezygnować ze starań o lepsze jutro.

On ma na to sposób. Nasz bohater w takich chwilach wchodzi do pokoju gdzie wciąż wisi jego „Nadzieja”, siada na wprost i wpatruje się w nią długo, coraz dłużej. To wciąż jeszcze działa, wychodzi spokojniejszy i nadal pewny drogi, po której idzie.

Myślę, że ta metoda przyda mu się jeszcze wiele razy. Ale czy może tak długo działać?

Niestety, sądzę, że będzie przydatna i potrzebna także jego dzieciom, a może i wnukom.

A Wy?, Czy także macie swoją „Nadzieję”? Jeśli jej nie macie - szukajcie wokół siebie.

Tej, o której Wam opowiedziałem nie pokażę, musicie ją sobie wyobrazić. A jeżeli nie potraficie, to musicie sobie stworzyć własną Nadzieję, bo bez niej naprawdę ciężko jest żyć.

Wrzesień 2022